

Rząd i jego ulubiony prezydent

Donald Tusk włączył się oficjalnie do kampanii wyborczej Bronisława Komorowskiego. Widocznie doszedł do wniosku, że po pierwszej turze szanse partyjnego kolegi na zwycięstwo nieco się zmniejszyły. Pan premier dobrze pamięta własną klęskę w 2005 roku, kiedy to Lech Kaczyński pokonał go w drugiej turze, mimo przegranej w pierwszej. Udział Tuska w kampanii Komorowskiego to jeszcze jeden z bardzo wielu „państwowych” obowiązków, którym musi dziś sprostać premier. O tyle jest to dziwne, że Bronisław Komorowski, występując w kilku rolach: marszałka sejmu, p.o. prezydenta i oficjalnego kandydata Platformy Obywatelskiej do stanowiska prezydenta, doskonale daje sobie radę z prowadzeniem kampanii i nie sprawia wrażenia osoby oczekującej pomocy. W ostatnim tygodniu w ramach „prezydenckiej” aktywności marszałek wręczał na Dolnym Śląsku medale strażakom za poświęcenie w akcji przeciwpowodziowej, a podczas nagłej wizyty w Afganistanie zapowiedział zwiększenie żołnierzom żołdu.

Premier wie, że druga tura wyborów prezydenckich niesie zawsze większe ryzyko, gdyż nie wiadomo, jak rozłożą się głosy tych, którzy popierali wcześniej innych kandydatów i nie wiadomo, jak postąpią ci, którzy jeszcze nie uczestniczyli w wyborach. Ryzyko tym większe, że firmy sondażowe badające polityczne nastroje Polaków, promując kandydata PO, znacznie straciły na wiarygodności, a tym samym na skuteczności. Osłabiły swoją mobilizująco-dezinformującą funkcję, która zachęcając

sondażami do poparcia pewniaka Komorowskiego, zniechęcała do głosowania na potencjalnego przegranego, czyli Jarosława Kaczyńskiego.

Pomoc premiera dla Bronisława Komorowskiego nie polega na zachwalaniu własnego kandydata, ale na krytykowaniu i ośmieszaniu jego kontrkandydata. To typowa metoda walki politycznej Platformy Obywatelskiej z jej pięcioletniego repertuaru. Sprowadza się do przypominania słów czy całych wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego, które mają udowodnić jego obłudę i zakłamanie. Ponieważ gra toczy się o głosy lewicy, która zagłosowała na Grzegorza Napieralskiego, niektóre „zaprzyjaźnione” z rządem media z lubością przypominają dawne wypowiedzi Kaczyńskiego o przestępczym charakterze SLD. Ma to osłabić wiarygodność szefa PiS, który tak jak PO, poszukuje poparcia na lewej stronie sceny politycznej. Tymczasem deklaracje Kaczyńskiego o lewicowym, a nie postkomunistycznym obliczu obecnego SLD, mimo obecności w nim wielu byłych członków komunistycznej partii, są dziś w dużym stopniu uzasadnione. Grzegorz Napieralski, choć jest synem etatowego instruktora z Komitetu PZPR w Szczecinie, był zbyt młody, by współtworzyć „przewodnią siłę narodu”, a głosujący dziś na niego młodzi ludzie widzieli w nim lewicowca, a nie młodego komunistę, czy postkomunistę. Gdyby te same media przypomniały liczne i nie tak dawne, bo sprzed dwu lat, wypowiedzi Stefana Niesiołowskiego o Grzegorzu Napieralskim, („obrzydliwy, „załgany”, „zakłamany hipokryta”, „polski Zapatero”) oraz

główną sentencję: „My, Platforma Obywatelska, żadnych rozmów z panem Napieralskim prowadzić nie będziemy”, byłaby może jakaś symetria w przedstawianiu nastawienia obu tych partii do lewicy. Niestety, tej symetrii nie ma, a Niesiołowski deklaruje dziś bardziej przyjazne (niż PiS) związki PO z lewicą.

Ale chorobą polskiej młodej demokracji i to znacznie gorszą od tej, która polega na stosowaniu podwójnych standardów, jest nieustanne odmawianie opozycji prawa do istnienia w państwie. Jarosław Kaczyński doświadczył tego już 17 lat temu, kiedy jego partia Porozumienie Centrum została uznana za antydemokratyczną i antypaństwową i wobec której prowadzono inwigilację za pomocą tajnych służb. Przejawem właśnie takiego „totalniackiego” myślenia jest ostatnie wystąpienie premiera Tuska o poparcie kandydatury Bronisława Komorowskiego tylko dlatego, że rządowi potrzebny jest zgodny (czyli swój) prezydent, by przeprowadzić w Polsce, w ostatnim roku przed wyborami parlamentarnymi, niezbędne reformy. Przez trzy lata rząd wmawiał nam, że przeszkodą do dalszego modernizowania kraju jest osoba Lecha Kaczyńskiego na urzędzie prezydenta. Prezydent miał nieustannie utrudniać rządzenie.

Tymczasem Donald Tusk, uzasadniając swoją rezygnację z kandydowania na urząd prezydenta, przekonywał nas, że funkcja prezydenta w państwie jest bez większego znaczenia (żyrandole, itd.), i tylko rząd ma pełne możliwości wpływania na bieżącą politykę państwa. Teraz znowu apeluje o wsparcie kandydata na

prezydenta, dzięki któremu rząd będzie mógł przyspieszyć wprowadzenie oczekiwanych reform. To, co nie mogło się udać przez trzy lata, ma się udać teraz. Warunek - poparcie dla Bronisława Komorowskiego, a będzie normalnie, a będzie pięknie, jak w tej piosence wyborczej Platformy.

Tworzy się monopol, przy którym krótki okres równoczesnego sprawowania władzy przez premiera Jarosława Kaczyńskiego i prezydenta Lecha Kaczyńskiego będzie wspomniany jako czas wolności i pluralizmu. Był to też dobry czas dla ówczesnej opozycji, którą była wówczas PO. Jej „radosny” wniosek o dymisję wszystkich 19 ministrów rządu Jarosława Kaczyńskiego przeszedł już do historii polskiego parlamentaryzmu jako przykład kompletnego idiotyzmu. Warto też pamiętać, że ówczesny premier Jarosław Kaczyński, gdy doszedł do przekonania, że nie jest w stanie wywiązać się ze swoich konstytucyjnych obowiązków, dobrowolnie ustąpił z urzędu, składając dymisję gabinetu na ręce brata, prezydenta Lecha Kaczyńskiego. I to jest przykład odpowiedzialnego myślenia o państwie i demokracji. Jeżeli rząd nie daje sobie rady, to podaje się do dymisji, a nie szuka pomocy u swojego ulubionego prezydenta nawet jeżeli jest nim rodzony brat.

Wojciech Reszczyński

189Nasz Dziennik 24.06.10